na zamówienie

Barbara Krafftówna

Czy ta obecna Pani wizyta w kraju wiąże się z udziałem w amerykańskim spektaklu Witolda Gombrowicza „Biesiada u hrabiny Kotłubaj", pokazanym na festiwalu gombrowiczowskim w Radomiu oraz w Warszawie?

– Jak najbardziej. Jestem szczęśliwa i bardzo dumna, że mogłam przeżyć wspólne chwile z kolegami amerykańskimi i jednocześnie być świadkiem ich wrażeń podczas pobytu w naszym kraju, prawdziwego zachwytu Polską i jej zabytkami. A przede wszystkim, jak to oni mówią, tym, że nasz kraj ma „spirit", czyli szczególnego ducha. Dla nich rytm polskiego życia i obraz, jaki sobą przedstawiamy, przepełniony jest owym „spiritem". To niezwykła jakość, której my, żyjący tutaj, nie dostrzegamy. Nie widzimy rzeczy wartościowych i pięknych. Trzeba na to świeżego oka.

Kto ten spektakl reżyserował?

– Reżyserował go prof. Michael Hackett z UCLA, uniwersytetu w Los Angeles. Zna on doskonale teatr polski, ponieważ był już dwukrotnie w Polsce na zaproszenie Teatru Dramatycznego w Warszawie, w tym przez cały rok przebywał u nas z rodziną. Zwiedził także Kraków i ma w Polsce wielu przyjaciół. Wystawił wówczas trzy sztuki, poznał bliżej kulturę polską. Od dyrektora teatru radomskiego otrzymał propozycję zrealizowania spektaklu gombrowiczowskiego, co się okazało wspaniałą inicjatywą. To cudowne, że nasza kultura, nasza literatura są tak poważane przez świat. Amerykanie przyjęli tekst Gombrowicza z ogromnym zainteresowaniem. Pamiętam również, że spektakl „Matki" Witkacego, z którym po raz pierwszy byłam w Stanach Zjednoczonych, został tam przyjęty z niemal bałwochwalczą fascynacją.

Jest Pani aktorką słynącą z wyjątkowego wyczucia teatru absurdu. Czy Amerykanie dali sobie z tym radę?

– Oczywiście. Dlatego, że poza absurdem w twórczości Gombrowicza jest jeszcze interesująca filozofia. Tak zresztą jak i u Witkacego. I to jest ich ciężar gatunkowy, którego niepodobna pokonać byle jakim absurdem i współczesną wyobraźnią. Gombrowicz ze swoją wyobraźnią przebija się tak dalece, że na festiwalu w Radomiu te same dźwięki słychać było w spektaklach amerykańskim i węgierskim, z krajów tak od siebie odległych. Zupełnie jakby ktoś kogoś wcześniej podejrzał i podsłuchał, co przecież było niemożliwe.



FOT. WŁADYSŁAW HANUSZ

A jak się Pani grało z aktorami amerykańskimi?

– Doskonale. Tak jak z kolegami polskimi.

Mówi się o ich innej ekspresji...

– Na pewno jest inna. Oni są chyba bardziej od nas ekspresyjni i wyraziści. Wynika to z ich głęboko zakorzenionego luzu. Amerykanie to urodzeni showmeni. W związku z tym, ich system komunikowania się z ludźmi jest kompletnie inny niż nasz. Oni nie mają żadnych oporów w kontaktach z innymi, co bardzo jest też wyczuwalne w aktorstwie. Mają także wrodzoną gotowość do wykonywania zadania. Skoro już ktoś jest aktorem, nie ma żadnych zahamowań. My, aktorzy polscy, raczej powoli dochodzimy do roli, docieka my i rozwijamy się wraz z nią. Kiedy ogłoszono nabór do ról w „Matce", widziałam aktorów, którzy dosłownie z ulicy wchodzili na scenę, przedstawiali się, ściągali marynarkę i zaczynali grać. Bez najmniejszych obciążeń i stresów.

Pojechała Pani za Ocean grać „Matkę" po angielsku?

– Tak. I to nie znając tego języka. Toteż, kiedy otrzymałam tę propozycję, myślałam początkowo, że to jakiś żart albo pomyłka. Okazało się jednak, że nie był to żart. Zaproponowano mi tę rolę właśnie jako aktorce „Witkacowskiej". Było to dla mnie niezwykłe doświadczenie, zwłaszcza pokonanie języka przez fonetykę. Opracowałam sobie wiele różnych metod, aby się z tym uporać. Miałam różne pomoce, m.in. nagranie roli Matki, ale, na moją prośbę, w interpretacji mężczyzny, ponieważ chciałam, aby to, co kobiece, w tej roli pochodziło wyłącznie ode mnie.

A potem wyszła Pani w Kalifornii za mąż i została w Ameryce...

– Tak. Zdarza się.

Myśmy w kraju boleli nad stratą jednej z najwybitniejszych aktorek. Nie brała Pani tego pod uwagę?

– Brałam. Ja w ogóle bardzo szanuję opinię publiczności. Niektórzy aktorzy natomiast, jak wiem, lubią publiczność podrażniać, czego nie rozumiem. Decyzje o pozostaniu w USA traktowałam jednak jako pewną przerwę, nie zamierzałam likwidować planów związanych z pracą w Polsce.

Czy mąż Pani, dziś już nieżyjący, był Polakiem?

– Nie, był Amerykaninem. Doskonale znał i kochał teatr, przez lata pracował w radiu, był wykształcony muzycznie i popierał moje plany zawodowe. Poznałam go ze sceny, gdy siedział na widowni podczas mojego koncertu, jaki dałam w roku 1983 dla kalifornijskiej Polonii. To było w czasie, gdy w kraju wszystko zakazano. Uważałam więc ten koncert za swój obowiązek. Poznanie mego męża to prawdziwa love story.

Zagrała Pani w „Matce", wystąpiła w koncercie, teraz w spektaklu Gombrowicza. To na razie wszystko?

– Cały czas wokół mojej pracy aktorskiej w Ameryce wykonywane są jakieś ruchy, czego rezultatem jest właśnie ostatnio ta sztuka Gombrowicza, z którą pojedziemy jeszcze w najbliższym czasie zapewne do Chicago, do San Francisco i San Diego. Cóż, praca aktora w Polsce polegała i wciąż polega na takiej intensywności, jak praca w fabryce. Aktor polski jest zatrudniony w teatrze, w filmie, telewizji, radiu i jeszcze często w kabarecie. W USA jest zupełnie inaczej. Na szczęście, tam także teatr nie zaginie. Uważam nawet, że nadchodzi czas przesytu telewizją.

Za to dużo grywa Pani ostatnio gościnnie w kraju...

– Owszem. Chociaż na razie są to wyłącznie kontakty z kamerą filmową i telewizyjną. Wystąpiłam w wielu filmach i serialach telewizyjnych, czego jeszcze nie widać, bo teraz na emisję spektaklu trzeba czekać. To nie to, co kiedyś, kiedy spektakl nagrywało się przed południem, a wieczorem był już na antenie. Zagrałam więc w serialu „Bank nie z tej ziemi", w monodramie „Co się właściwie stało z Betty Lemon?", w serialu „Sceny domowe" wraz z Wiesławem Michnikowskim, także w serialu „Szczęście na telefon", który można nazwać monodramem, ponieważ w czasie realizacji byłam sama na planie filmowym.

Tyle ma Pani zajęć w Polsce, po co więc wracać do Kalifornii?

– Po co? Choćby po to, aby grać tam nadal Gombrowicza i aby być z przyjaciółmi.

Dobrze się Pani czuje w Ameryce?

– Doskonale. Muszę się pochwalić, że ja mam w ogóle idealne usposobienie, łatwo nawiązuję kontakty i zapuszczam korzenie. Mam łagodny stosunek do ludzi i otoczenia. Samo życie natomiast przynosi oczywiście ze sobą wiele różnych problemów, ale spotyka mnie tam tyle dowodów sympatii, a nawet miłości ze strony różnych ludzi, nie mówiąc o przyjaciołach, że łatwiej je pokonywać.

Nie boi się Pani kalifornijskich trzęsień ziemi?

– Strasznie się boję. Przeżyłam nawet to ostatnie. Trzęsienia ziemi to jedyne, co rozwiewa moją spokojną egzystencję w Kalifornii.

A rodzinę zostawiła Pani w kraju?

– Nie. Syn, synowa i wnuczek mieszkają w Kanadzie. Widujemy się z różnych okazji rodzinnych.

Bardzo Pani dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
Kazimierz Sobolewski